Ostatnia
aria
Mozarta
MATT REES

MATT REES

Ostatnia aria Mozarta

PRZEŁOŻYŁ
Ryszard Oślizło

WYDAWNICTWO KOBIECE

TYTUŁ ORYGINAŁU:
Mozart's Last Aria

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno
Redakcja: Ewa Popielarz
Korekta: Ewa Kosiba
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © fotorince (istockphoto.com)
Skład: skladigrafika@gmail.com

Copyright © by Matt Rees 2011

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiece,
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus
Copyright © for Polish translation by Ryszard Oślizło

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2017
ISBN 978-83-65740-15-1

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiece
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

Dla Devorah,

która jest całą muzyką, jakiej mi potrzeba

Z podziękowaniami dla: dr Orit Wolf, która pokazała mi, jak pracują wielcy muzycy; Louise i Dietera Hechtów, za to, że zabrali mnie wysoko ponad wieże kościoła św. Karola Boromeusza i uświadomili mi, jak przerażający może być stary Wiedeń; maestrowi Zubinowi Mehcie, który wyznał mi, że jemu także byłoby trudno żyć bez Mozarta.

W październiku 1791 roku Wolfgang Amadeusz Mozart, największy geniusz muzyczny świata, powiedział swojej żonie, że podano mu truciznę. Sześć tygodni później, w wieku trzydziestu pięciu lat, już nie żył.

Prawdę, prawdę, choćby zbrodnią była!

Czarodziejski flet, akt I, scena 18

Główne postaci

Maria Anna Nannerl Mozart, *siostra kompozytora*
Johann Berchtold, *mąż Nannerl*
Karl Gieseke, *aktor*
Magdalena Hoftdemel, *uczennica Wolfganga*
Baron Konstant von Jacobi, *pruski ambasador w Austrii*
Leopold II, *cesarz Austrii*
Książę Karl Lichnowski, *patron Wolfganga*
Konstancja Mozart, *żona Wolfganga*
Franz Xaver Wolfgang Mozart, *najmłodszy syn Wolfganga*
Maria Theresia von Paradies, *niewidoma pianistka-wirtuoz*
Hrabia Johann Pergen, *prezydent policji*
Emanuel Schikaneder, *impresario teatralny, aktor*
Anton Stadler, *muzyk i przyjaciel Wolfganga*
Baron Gottfried van Swieten, *dyrektor Biblioteki Cesarskiej i główny cenzor cesarstwa*

Prolog

Gdy śpiewała, trudno było sobie wyobrazić, że śmierć jest tak blisko.

Jej pokojówka wpuściła mnie o zwykłej porze, po południu. Z głębi apartamentu dobiegał niezwykle czysty sopran.

– Ktoś ją odwiedził, Franciszko? – spytałem.

Pokojówka pokręciła głową.

– Jest sama, *sir*.

Przeszedłem przez salon. Śpiewała arię Zerliny z *Don Giovanniego*, w której ta wiejska kokietka opisuje bijące w jej sercu pożądanie. Śpiew przycichł, gdy szeptała ostatni wers, dziewczęcą zachętę dla zalotnika: „Dotknij mnie tu". Gdy powtarzała te słowa, tym razem *crescendo*, w jej głosie pojawił się lekko ochrypły ton, a ostatni dźwięk zabrzmiał słabo i drżąco.

Wchodząc do sypialni ciotki Nannerl, usłyszałem suchy kaszel. Wątłą ręką dyrygowała niewidzialną orkiestrą, jakby prowadziła ją przez kodę do samego finału.

Jej dłonie spoczęły na kołdrze, a podbródek opadł na pierś. Czy słuchała aplauzu widowni? A może poczuła się zmęczona śpiewem?

Zatrzepotała powiekami starych, niewidzących oczu. Zadumałem się nad życiem, które niegdyś wiodła, nad tym wszystkim, co było jej dane oglądać, a co bezpowrotnie utraciła. Jako muzyk rozumiałem sekrety, które kompozytor skrywa na kartach partytury, gdzie pozostają niedostępne dla tych, co nie potrafią pojąć w pełni jego dzieła. Jako bratanek byłem mniej spostrzegawczy, choć nie do końca zdawałem sobie z tego sprawę.

Często odwiedzałem ją w domu niedaleko od katedry św. Ruperta w Salzburgu i odnosiłem wrażenie, że udało mi się poznać ją na wskroś. Nieobca była mi jej sława cudownego dziecka, klawesynistki i pianistki, słyszałem o jej podróżach, podczas których, jako dorastająca dziewczyna, występowała razem z moim ojcem w największych miastach Europy. Wiedziałem, że poślubiła wysokiego urzędnika państwowego i awansowała do grona niższej szlachty, dzięki czemu od tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego drugiego roku nosiła tytuł baronowej cesarstwa. Po śmierci męża wróciła do Salzburga, gdzie uczyła gry na fortepianie, dopóki nie zawiódł jej wzrok.

Założenie, że wiem wszystko o tej siedemdziesięcioośmioletniej kobiecie, świadczyło jedynie o bezmyślnym lekceważeniu, z jakim młody mężczyzna traktuje zniedołężniałą staruszkę. Mówię to z niezachwianą pewnością, bo właśnie tego dnia poznałem szczegóły z jej życia, które uczyniły je w moich oczach jeszcze bardziej

niezwykłym, niż można by przypuszczać, znając słynne koleje jej losu.

Skończywszy śpiewać, ciotka leżała cicho i nieruchomo w swoim wąskim łóżku. Miała na sobie koronkową koszulę nocną i spowijający ramiona prosty szal. Pocałowałem ją w wysuszony policzek, przysunąłem sobie krzesło i powtórzyłem jej krążące po mieście plotki. Zdawała się nie zauważać mojej obecności.

Kiedy umilkłem, zaskakująco szybkim ruchem mocno ścisnęła moją dłoń. Palce zachowały siłę z czasów, kiedy codziennie, przez co najmniej trzy godziny, przesiadywała przy fortepianie, ćwicząc umiejętności, którymi niegdyś zabawiała królów, książąt i hrabiów.

– Zagraj dla mnie – powiedziała.

Miała wspaniały stary fortepian z pracowni Steina z Augsburga. Wybrałem dla niej sonatę A-dur mojego ojca. Pragnąłem, aby taneczny rytm tureckiego ronda ożywił nieco tę kruchą kobietę. Grałem, a ona gładziła palcami złoty krzyżyk inkrustowany bursztynem, który nosiła na szyi. Jej pozbawione wyrazu, niewidome oczy były szeroko otwarte. Gdy skończyłem, wychrypiała moje imię:

– Wolfgang.

– Tak, najdroższa ciociu – odezwałem się.

Odwróciła się ku mnie, jakby spodziewała się odpowiedzi kogoś innego.

Kiedy odwiedziłem ją po raz pierwszy, aby dla niej zagrać, powiedziała, że przypominam jej mojego ojca. W rzeczywistości włosy i oczy mam ciemne po matce, zaś moją grę ojciec bez wątpienia nazwałby mechanicz-

ną. Nie odziedziczyłem ani krztyny jego geniuszu. Ale nazwano mnie Wolfgangiem i być może to podobieństwo było dla ciotki Nannerl wystarczające. Aż do tej chwili. Wyczułem, że zwracała się nie do mnie, lecz do nieżyjącego od trzydziestu ośmiu lat mężczyzny, który kiedyś był jej młodszym bratem. Do człowieka, który zasłynął w całej Europie, a nawet w Ameryce, jako niezrównany kompozytor.

Do Wolfganga Amadeusza Mozarta.

– Na tamtej półce. W szkatułce inkrustowanej masą perłową. – Wyciągnęła rękę ponad kołdrą z tak niebywałą gracją, że przez moment zawahałem się, niepewny, czy aby ciotka już nie umarła, a ja nie patrzę na jej ducha, opuszczającego kruche kości i wiotczejącą skórę.

Otworzyłem szkatułkę, w której pod starymi, barwnymi wstążkami znalazłem księgę oprawioną w brązową, odrapaną skórę. Włożyłem ją do jej rąk.

– Wkrótce umrę – wyszeptała.

– Niech Bóg broni, najdroższa ciotuniu. Nie mów takich rzeczy.

Otworzyła księgę i przesunęła palcami po suchych, pożółkłych stronicach zapełnionych wznoszącymi się ku górze liniami notatek. Autor musiał się posługiwać gęsim piórem, którego obecnie używa już niewielu. Rozpoznałem jej charakter pisma, bo często słała do mnie listy, gdy koncertowałem w Polsce i w Prusach. Przewróciła kilka kartek i rozpostarła kościste palce na tekście. W pierwszej linii, jak zauważyłem, odnotowane były miejsce i data: *Wiedeń, 21 grudnia 1791*.

Zatrzasnęła księgę z hukiem, który w ciszy mieszkania zabrzmiał jak wystrzał z armaty. Wzdrygnąłem się i w tej samej chwili oprawiona w skórę księga nieoczekiwanie wylądowała w moich dłoniach.

– Nie pokazuj jej swojej matce – powiedziała.

– Dlaczego? – Uśmiechnąłem się. – Jakież to sekrety skrywasz, ciociu Nannerl?

Uniosła swe cienkie brwi, a ja odniosłem wrażenie, że utkwione we mnie melancholijne brązowe oczy należą do znacznie młodszej kobiety.

– Gdy umrę, wszystko, co posiadam, otrzyma mój syn Leopold – odpowiedziała. – Odziedziczy moje pieniądze, kilka cennych sztuk biżuterii. Także moje dokumenty, dzienniki i rachunki. Nudne kroniki codziennego życia w Salzburgu i na wsi, gdzie spędziłam swe małżeńskie lata. – Oddychała ciężko. Jej głowa opadła na poduszki.

Uniosłem rękę z księgą.

– Ale to jest…?

– To coś innego. Wyłącznie dla ciebie.

– Czy to dotyczy mego ojca? – Ledwie zdołałem ukryć poruszenie. Miałem tylko kilka miesięcy, gdy go straciliśmy. Zawsze towarzyszył mi podczas gry na fortepianie, lecz jedynie tak, jak mityczni bogowie Olimpu towarzyszyli Grekom, kiedy ci mełli pszenicę na mąkę.

Ciotka przełknęła z trudem ślinę i zakasłała. Pomyślałem, że być może się pomyliłem. Przecież zawsze, kiedy pytałem ją o ostatnie lata życia mojego ojca, które spędził w Wiedniu, twierdziła, że nie widziała go od tysiąc siedemset osiemdziesiątego ósmego roku, gdy otrzymała

spadek po dziadku, przez co ochłodziły się jej stosunki z bratem. Nadal mieszkała z mężem we wsi Sankt Gilgen. Mój ojciec kontynuował zaś swoją karierę w operach i na salonach wiedeńskich arystokratów, dopóki trzy lata później, w wieku trzydziestu sześciu lat, nie odszedł z tego świata.

Zacisnęła usta i zebrała się w sobie.

– W tej księdze znajdziesz prawdę o wydarzeniach, które zmieniły twoje życie – a przy tym całą historię muzyki.

– Więc jest o nim – powiedziałem podekscytowany, gładząc porysowaną skórę okładki.

– O jego śmierci.

– Mówisz o gorączce? Tak, ciociu, wiem o niej.

Pokręciła głową. Jej włosy, wciąż upinane przez pokojówkę w staromodny, wysoki kok, mimo że ciotka nieustannie leżała w łóżku, zaszeleściły na poduszce, jakby chcąc mnie uciszyć.

– Mówię o jego morderstwie – sprostowała.

Mych uszu dobiegł dźwięk, który brzmiał jak ostatnie tchnienie ulatującej duszy. Nie byłem pewien, czy wydała go moja ciotka, ja sam, czy może rozpaczający duch mego biednego ojca. Chciałem coś powiedzieć, ale język stanął mi kołkiem, żebra zacisnęły się wokół płuc, a fular wokół wysokiego kołnierzyka nagle jakby ktoś związał mocniej.

Ciotka Nannerl odprawiła mnie machnięciem ręki i opadła na poduszki.

W pośpiechu wróciłem do swego pokoju w domu mojej matki przy Nonnbergasse, prawie biegiem pokonując strome stopnie u stóp urwiska. Skóra na pamiętniku ciotki pociemniała od potu mojej dłoni, choć dzień był na tyle chłodny, że można się było spodziewać pierwszych opadów śniegu.

W domu wytarłem okładkę o nogawkę bryczesów, zamknąłem oczy, aby wyszeptać *Zdrowaś Mario* za duszę mego ojca, i otworzyłem pamiętnik.

Franz Xaver Wolfgang Mozart

Salzburg, 9 października 1829

1

Grudzień 1791
Sankt Gilgen koło Salzburga

Gdy wracałam z porannej mszy w kościele św. Idziego, śnieg przesłaniał szczyt Zwölferhorn i otulał wieś warstwą białej ciszy. Przechodząc przez ogród nad jeziorem, niedaleko domu usłyszałam, jak mały Leopold wygrywa na fortepianie jeden z menuetów mojego brata. Pomyślałam z uśmiechem, że to chyba jedyny dźwięk rozlegający się tego ranka w Abersee. Śnieg stłumił wszystko oprócz tej wyrazistej muzyki, która łączyła mnie z drogim Wolfgangiem. Byłam ciekawa, czy i on przygląda się w tej chwili delikatnym zaspom pokrywającym ulice Wiednia.

W holu Lenerl pomogła mi zdjąć futro i podała list przywieziony przez zarządcę wioski, który późnym wieczorem poprzedniego dnia wrócił z Salzburga. Poleciłam przynieść sobie gorącą czekoladę i przysunęłam krzesło bliżej kominka w salonie. Przyglądałam się, jak przy-

bywa śniegu na słupkach okiennych i uśmiechałam się szeroko za każdym razem, kiedy z bawialni docierał do mnie fałszywy ton.

Nie była to wina małego Leopolda. Fortepian nie brzmiał zbyt dobrze nawet wtedy, kiedy sama na nim grałam. Chłód i wilgoć Salzkammergut, regionu zdominowanego górami i jeziorami, wypaczyły drewno, z którego zbudowano ten instrument. Niektóre klawisze zaczęły odstawać, a obciągnięte filcem młoteczki zbutwiały, więc dobycie czystego akordu graniczyło z cudem. Mimo to chłopiec spędzał przy fortepianie co najmniej godzinę dziennie, z nadzieją, że sprawi mi tym radość.

Prawdę mówiąc, cieszyło mnie, że mój syn gra tylko tak dobrze, jak na sześciolatka przystało. Oczywiście mój brat, mając sześć lat, skomponował swój pierwszy utwór, a marzeniem naszego nieżyjącego już ojca było, aby to cudowne dziecko odrodziło się w moim pierworodnym. Ja jednak nigdy tego nie pragnęłam. Zaczynało mi ciążyć, że prawdziwie szczęśliwa czułam się jedynie przy fortepianie. Nawet wtedy, gdy grałam w karty z przyjaciółkami albo ćwiczyłam strzelanie do celu, jednocześnie przebierałam palcami wolnej ręki, szlifując wyimaginowane *arpeggio*, bo kiedy tego nie robiłam, stawałam się rozkojarzona i drażliwa. Przekleństwem artysty jest to, że zawsze zaprząta go przede wszystkim jego kunszt. Przyjaciele i rodzina widzą cię tak, jak rybak widzi powierzchnię Abersee, lecz twoje prawdziwe ja pozostaje dla nich niedostępne, niczym głębia jeziora. Jednak ja już dawno zarzuciłam artystyczne życie i cza-

sami to nieustanne zaabsorbowanie wadziło mi, jak kalece jego bezużyteczna stopa.

Palcami wybijałam rytm na ułożonym na kolanach liście. Być może zawierał wieści o moim bracie. Zimą trudno było śledzić bieżące wypadki rozgrywające się poza granicami wioski, którą śnieg odciął od świata. Z ostatniego biuletynu, jaki do nas dotarł, dowiedzieliśmy się, że Wolfgang tworzy nową operę. Wracający z Wiednia znajomi donieśli mi, że nie cieszył się ostatnio najlepszym zdrowiem, często chorował. Pragnęłam znaleźć w tym liście wieści o jego ozdrowieniu. Byłam pewna, że rozpoznaję ten charakter pisma.

Do rąk własnych Madame
Madame Maria Anna Berchtold von Sonnenburg
zamieszkała w Domu Prefekta
Sankt Gilgen
koło Salzburga

Dziwnie obce wydało mi się to moje nazwisko, które zyskałam, wychodząc za mężczyznę ślęczącego nad dokumentami w samotności swego gabinetu po drugiej stronie holu. Zamiast wyróżnić, nazwisko po mężu uczyniło mnie anonimową. Nim Berchtold sprowadził mnie do tej odległej wioski – jeszcze bardziej potęgując moją anonimowość – nosiłam nazwisko, które znali wszyscy i z którym, przyznaję, wciąż się identyfikowałam w domowym zaciszu.

Mozart.

Brzmienie tego nazwiska we wspomnieniach było jak sen. Miękkie Z i nieme T, jak wymawiali je Francuzi, gdy występowaliśmy w Wersalu, na dworze Ludwika XV. Długie angielskie A, które usłyszałam z ust szambelana króla Jerzego, gdy anonsował nas w pałacu Buckingham.

Lenerl postawiła na stoliku przede mną gorącą czekoladę i dygnęła.

– Czy życzy pani sobie czegoś jeszcze, *madame*?

Odprawiłam ją skinieniem głowy.

Zwodziłam samą siebie, rozpamiętując dawne podróże rodzinne do europejskich stolic. Teraz, gdy nie nosiłam już tego nazwiska, musiałam przyznać, że nawet wtedy byłam jedynie Mozartówną. Tylko on był „Mozartem". Gdyby ktoś w Mediolanie lub Berlinie zaadresował list tym jednym słowem, dotarłby on do mojego brata w Wiedniu. W czasach naszej wspólnej sławy dziecięcych muzyków zachwyceni arystokraci obdarowywali mnie miniaturowymi zegarkami i złotymi tabakierkami. Mojemu bratu zaś przypadło *nazwisko*.

Dla mieszkańców wioski nie byłam nawet Mozartówną. Niewielu z nich wypuszczało się dalej niż do Salzburga, co i tak wymagało odbycia sześciogodzinnej przeprawy przez góry. Co mogli wiedzieć o pałacach Nymphenburg i Schönbrunn, w których prezentowałam swój talent muzyczny, spacerowałam po ogrodach, gawędziłam z królem, nosiłam stroje szyte dla cesarskich dzieci? Życie wieśniaków nie wykraczało poza kościół, łaźnię, gdzie cyrulik wyrywał zęby, i stragan nad jeziorem, gdzie kościelny sprzedawał różańce i świece ofiarne.

Nikt nie nazywał mnie już nawet Nannerl, odkąd Mama i Papa odeszli z tego świata. Nikt prócz niego, który milczał od trzech lat. Choć nie wspominaliśmy o tym w naszych ostatnich listach, obawiałam się, że ojcowski testament, w którym to mnie zapisał wszystkie owoce naszej dziecięcej sławy, przyczynił się do zerwania więzi łączącej mnie z bratem, moim drogim Jasiem Kiełbasiem, moim Franiem von Krew-z-Nosa.

Te lata, gdy nie odzywał się ani słowem, były, jak sądziłam, trudniejsze dla mnie niż dla niego. Gdybyż tylko zdobył się na napisanie do siostry, wiodącej proste życie w mężowskim domu, miałabym rozrywkę, czytając o występach na salonach, o zaproszeniach na bale, o komponowaniu koncertów.

Brakowało mi takich przyjemności. Mimo to cieszyły mnie recenzje jego oper w biuletynach z Salzburga i zamawiałam wszystkie wyciągi fortepianowe z jego dzieł, a potem grałam je, podziwiając coraz dojrzalsze kompozycje. Nawet mój biedny, ograniczony mąż nie mógł powstrzymać się od łez, kiedy śpiewałam: „Zlituj się, najdroższy, wybacz pomyłkę ukochanej duszy" – z opery *Così fan tutte* Wolfganga. Przez wszystkie lata jego milczenia pocieszałam się myślą, że pewnego dnia odwiedzi naszą wieś i raz jeszcze zagramy razem.

Śpiewając tę właśnie arię, wsunęłam palec pod pieczęć i otworzyłam list. Był skreślony ręką mojej bratowej Konstancji.

Pieśń uwięzła mi w gardle na wysokim G i zamieniła się w szloch.

WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece

ul. Kolejowa 12B/12
15-701 Białystok
e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
tel. 731-019-059